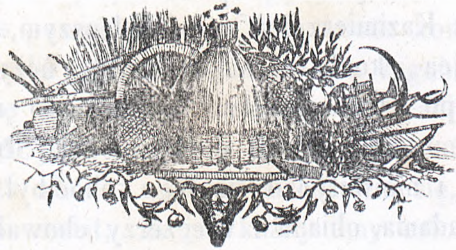
Tom IV. Nr. 9.
21. Marca. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Swięty Kazimierz.

Święty Kazimierz urodził się na polskiej ziemi. Ojcem jego był Kazimierz Jagiellończyk, król polski, a braćmi Olbracht, Aleksander i Zygmunt stary: takoż królowie polscy, i jeszcze dwóch innych, a z tych jeden był królem czeskim i węgierskim, zaś drugi najstarszym arcybiskupem na całą Polskę. Jak więc widzicie pobłogosławił pan Bóg dzieciom Jagiellończyka.

Kazimierz święty żył w Krakowie i mieszkał w zamku swego ojca, króla; będzie temu dobre lat czterysta. Już jako małe chłopię był tak pobożnym, że codzień musiał pójść do kościoła na mszę świętą, tam odmawiał prócz pacierza inne przeróżne modlitwy, a nieraz w nocy zaszedł sobie po cichu pode drzwi kościoła, klękał na gołej ziemi i zalany łzami modlił się aż do rana. Kiedy zaś był na zwykłej mszy w kościele, to sobie klękał między ludźmi, razem z nimi śpiewał, a po mszy odmawiał Anioł pański. A skoro wypadło jakie święto do Najświętszej Panny, to już cały dzień był w kościele i modlił się do Matki Bożej, a wilje jej pościł szczerze i spowiadał się.

Że ten Kazimierz został świętym, to stało się dlatego, iż

miał matkę bardzo pobożną, dobrego i dbałego o dzieci ojca, dobre przykłady w domu, i nauczyciela bardzo dobrego i uczonego, który był biskupem a napisał mądre księgi o naszym narodzie. To też Kazimierz był codzień lepszym, kochał swoją matkę i swego ojca, kochał braci i siostry, uczył się dobrze, a gdy miał czas po nauce, to brał książkę do nabożeństwa i modlił się w domu, albo szedł do kościoła. Służył do mszy świętej biskupowi i nie wstydził się tego, choć był królewiczem. Zawsze część śniadania, obiadu i wieczerzy chował dla ubogich, i z płaczem rozdawał im to; a skoro się dowiedział, gdzie jaki ubogi mieszka w Krakowie, to po cichu tam pobiegł i dał mu jałmużnę lub potrzebną odzież, a robił to tak, aby nikt z ludzi o tem nie wiedział.

Ileż to dobrego robił ten królewicz! Miał on dużo pieniędzy, boć był synem bogatego króla polskiego, a on tych pieniędzy nigdy nie dał na żadne zabawy, ani na żadne światowości, tylko wszystko obracał na chwałę bożą, na jałmużnę i inne dobre uczynki. Nie stroił on się, jak to robią pyszni i światowi ludzie; nie był takim, aby tylko myślał o dobrem i zbytkowem jedzeniu, o dobrym napitku i długiem spaniu, i o zabawkach różnych przez cały boży dzień, jak to robią ludzie nierozumni i światowi. Jego jedzenie był chleb i skromna jaka potrawa, a reszta szła dla biednych wdów i sierot lub podupadłych rzemieślników, albo nieszczęśliwych chłopków koło Krakowa; jego suknia to koszula nie lniana ani konopna, ale włosienna, którą nosił na gołem ciele; jego łóżko to prosty siennik, czysto nakryty, jego napój to czysta i zdrowa woda. Cały dzień boży schodził mu na nauce potrzebnej, na nabożeństwie, na odwiedzaniu biednych i chorych, na usłużeniu każdemu w czem dobrem; zaś noc schodziła na cichej modlitwie przed obrazem Najświętszej panny, przed ukrzyżowanym panem Jezusem, a ledwo kilka godzin obracał na spanie. Choć mu dał pan Bóg i urodę i bogactwo, to on się tam z tego nie pysznił, ani się do tego świata nie przywiązywał. Nie był on ani księdzem ani zakonnikiem, ale sam dobrowolnie ciągle się modlił, o żadnych złych rzeczach ani pomyślał, i uczynił sobie sam taki ślub, aby się nigdy nie żenić, ale duszę swoją białą, bez pla-

my i grzechu ofiarować Najświętszej pannie i panu Jezusowi na wieczne czasy.

Zawsze sobie powtarzał święty Kazimierz te słowa, które sam pan Jezus powiedział: „Cóż pomoże komu choćby miał i cały świat, jeżliby przez to duszę swą zagubił?“ A tak był pokorny, że się nie uznawał za królewicza, ani za coś większego, choć ojciec jego i czterej bracia byli królami, a mawiał sobie te święte słowa: „Nagi narodziłem się, z płaczem przyszedłem na ten świat, tak jak każdy inny człowiek, jestem też tylko człowiekiem i nic więcej, a cała moja zasługa to dobre i bogobojne życie.“

Nie pozwolił mu pan Jezus długo żyć na świecie i opiekować się tą polską ziemią. Żył tylko 25 lat a umarł w Marcu; dla tego też i święty dzień jego jest 4 Marca każdego roku, a jeszcze świętszym jest dla nas, bo rocznicą polskiego świętego, naszego rodaka!

O święty Kazimierzu! Ciebie karmiła ziemia ta, która i nas karmi; tyś pił z tych samych źródeł, z których i my pijemy; tyś mówił tą samą mową, którą i my rozmawiamy: więc pojmiesz łatwo niedolę i boleść naszą. O święty nasz rodaku, wstaw się za nami do ojca Najwyższego, a za Jego wolą wszechmocną przywróć nam dolę i lepsze czasy przodków!

Ks. Wojciech z Medyki.

Pieśń do św. Kazimierza.

(Na nutę jak o świętym Janie Nepomucenie.)

Przezacny święty patronie
Polskich dzieci opiekunie!
Witaj święty Kaźmierzu,
Ty niebieski rycerzu!

Ciebię Polska urodziła
Chlebem swoim wykarmiła,
Dała Ci swoje cnoty,
Te najdroższe klejnoty!

Z Jagiellonów ród twój płynie,
Których imię w Polsce słynie,
Tyś ozdobą ich rodu,
I polskiego narodu.

Pogardziłeś dostatkami,
Dworem, państwem i zbytkami,
Żyłeś w świętej prostocie
W całym twoim żywocie.

Byłeś ojcem dla ubogich
Kmiotków, sierot i wdów mnogich,
Oni przez Cię zbawieni,
I w niebie umieszczeni.

Życie twe było bez skazy,
Bez występku i bez zmazy,
I tak piękne tak czyste
Jak to niebo gwiaździste.

Módl się do Boga za nami
Twemi grzesznemi ziomkami!
Podaj nam twoją rękę
I skróć niedoli mękę!

Wstaw się i do Bożej matki,
Za nas wszystkich, polskie dziatki,
Boś ty ją czcił w pokorze,
A ona nam pomoże.

Amen.

Ks. Wojciech z Medyki.

Wróż.

W wiosce jednej o milę od Rzeszowa odległej, mieszkał przed kilku laty zamożny gospodarz imieniem Józef Barciak, człowiek pobożny, uczciwy, gościnny, szanowany od wszystkich, słowem szczęśliwy w chałupinie swojej. Ale jak to powiadają: *nieszczęście nie chodzi po lasach tylko po ludziach*, więc też padło raz i na niego, a nabawiło go niemało zmartwienia i kłopotu.

Dnia jednego, było to po godach zimową porą pod sam

prawie wieczór, weszła do izby podróżna kobieta, powitawszy panem Jezusem, prosi gospodarstwa, by jej pozwolili z godzinę u siebie odpocząć, i ogrzać się trochę, bo już parę mil zrobiła drogi, a koniecznie do Rzeszowa nadążyć musi.

Przyjęli ją chętnie poczciwi ludziska, a uraczyli nawet jadłem, jakie tylko było. Po odpoczynku i posileniu, dziękując im owa kobieta za gościnę zabiera się do wychodu, a razem zapyta:

— Moiściewy, a powiedźcież mi jak się nazywacie, bym wiedziała komu też mam odsłużyć?

A gospodarz odpowie:

— Jestem Józef Barciak kmieć, a razem przysiężny tutejszej gromady.

Na te słowa owa kobieta z zadziwieniem klasnęła ręką w rękę, stanęła jak wryta, i zadumała się. Pytają się gospodarstwo, coby to znaczyło, a ona z pewną lękliwością zaczyna cedzić słowo po słowie:

— Powiedziałabym wam, ale mi nie wolno, chyba że nie nie wydacie.

Zaręczają więc gospodarstwo, że nikomu nie powiedzą, a ona wtenczas cichuteńko rzecze:

— Oto mąż mój, który ma tę łaskę od pana Boga, że różne rzeczy wie i zgadnie, i już niejednego z biedy wyratował, będzie temu z pół roku, mówił mi, że u Barciaków więc niby u was tu w tej wsi, są wielkie pieniądze zakopane.

Rozdziawił gębę Barciak, a szerzej jeszcze Barciakowa, i nuż kobietę prosić a nalegać, żeby tu męża sprowadziła, a że jemu i jej fatygę zapłacą, gotowi nawet konie posłać, gdyby zażądali. Ale na to rzecze kobieta:

— Nie tak to łatwa z moim sprawa, jeszczeby się na mnie zgniewał, i wydziwiał niestworzone rzeczy, żebym mu tak wprost powiedziała. Ale poczekajcie: Za dwie niedziele w wilią Gromnicznej pójdziem z mężem do Rzeszowa, bo się tam ofiarował do Matki Boskiej Bernardyńskiej, ale nie tędy, tylko tamtą drogą od Błażowej. Wyjedźcież wtenczas na górę Tyczyńską koło południa, i niby to trafunkiem się spotkamy, ja

was poznam, wy mnie, od słowa do słowa, zapoznam was z mężem, i tak nas do siebie zaprosicie.

— Zgoda! doskonale! — zawołali gospodarstwo; a potem Barciak wściubił jej cwancygiera z matką Boską, a Barciakowa obwinęła spory kawał placka w szmatę, i pożegnali się z dobrą kobietą.

Po owych odwiedzinach Barciakom robota w ład nie szła: coś ciągle ze sobą po cichu szeptali, czeladź nawet uważała, ale przyczyny domyśleć się nie mogła. Nareszcie nadszedł dzień wyznaczony. Ledwie słonko zeszło, zaprzągł Barciak parę koni do sani i wyjechał na Tyczyńską górę. Przez trzy blisko godziny tam i nazad jeździł, wracał i nawracał, bo mróz setny parzył go po gębie, aż tu naraz pokazuje się od dołu dwoje ludzi. Stanął Barciak, coś niby koło sani i koni poprawia, tymczasem owi ludzie zbliżyli się, a kobieta go poznaje, i wita. Barciak zpode łba popatrzy i poznaje, a kobieta nuż przed mężem rozpowiadać o gościnności Barciaków, a mąż nuż dziękować za dobre serce ku jego kobiecie.

— Za mało — rzecze Barciak — a jeźli łaska, to i teraz może mię nawiedzicie!

Spierał się wróż chwilę i wymawiał, ale party silnie przyjął zaprosiny, więc siadają wraz wszyscy i jadą.

Ledwie że przed chałupę zajechali, a Barciaczka biegnie do drzwi:

— A kogo żeś mi tam przywiózł? — pyta się męża.

— A zgadaj? — Więc Barciaczka wpatruje się a rzecze:

— A to niby ta kobieta, co niedawno u nas była?

— A ona, a tu jej mąż.

— No proszę, proszę! A dokądże pan Bóg prowadzi? może się jaka przygoda w drodze stała? bo to o nieszczęście nie trudno.

— Nic dziękować Bogu — rzecze wróż — tylko idziemy do Matki Boskiej Bernardyńskiej, gdzieśmy się ofiarowali, a mąż wasz spotkał nas skrzepniętych, i do siebie zaprosił.

— A dobrze zrobił — prawi Barciaczka — bo gościa w dom zawsze przyjąć należy. Ale czemże ja gości przyjmę? Nieprzyładowałam się, a tu do tego post. Ale co Bóg dał, na to proszę.

Dziękują wróżowie, a mówią że oni też z postem.

Więc zastawiła Barciaczka na troje, i postawiła sporą flaszkę wódki i pozasiadali. Stały dwie szklaneczki, nie wymawiał się wróż od większej, bo skrzepnął od zimna, a choć post, to wódka nie z omastą, gładko więc jedną po drugiej wychylał. Gdy już poobiadowali, a powstali i przeżegnali się, rzecze wróż.

— Co tu macie czy komorę, czy izbę drugą? bo to moja godzina, chciałbym chwilkę tam pomodlić się.

I otworzyła mu Barciaczka komorę: wszedł tam, i przymknęła drzwi, a wróżka tymczasem opowiedziała Barciakom, jako mąż jej wszystko z Panem Bogiem robi, i że za łaską bożą pewnie się im sam oświadczy, jako że go ukontentowali swoją gościnnością.

Serdecznie pocałowały się obie kobieciny, a po chwili wychodzi wróż, i mówi:

— Komu droga temu czas; ale ponieważ trafiłem na poczciwych ludzi i Opatrzność Boża tak zrządziła, żem tu do was zaszedł, to chcę wam za to zostawić pamiątkę, i odkryć wam wielkie skarby, jakie w waszym ogrodzie są zakopane.

Gdy się wszyscy rozciekawili, tak wróż kazał drzwi na haczek założyć, by jaki zły człowiek na zdradzie nie stanął i prawi dalej:

— Dawne już temu lata, dziedzic tutejszy wybierał się na wojnę, przywołał dziadka waszego dziadka, i rzecze mu. — Szymonie! ja wyjeżdżam na wojnę, córkę moją odwożę do ciotki za Sanok; przy domu i gospodarstwie zostaje podstarości: wierny-to człowiek ale że już latowy, złemu człowiekowi oprzećby się nie potrafił, umyśliłem przeto skarby moje u ciebie przechować. Idź wybierz spory dół w swoim ogrodzie, a gdy się zmierzchnie, przyjdziesz do mnie i poprzenosimy. Wrócę z wojny, tegoć nie zapomnę; a zginę to oddasz córce mojej, a ona o tobie pamiętać będzie. Rozpłakali się obadwaj, bo się bardzo nawidzili. Poszedł Szymon dół kopać, pytali się ludzie na co? ale on odrzekł: Biorę ziemię do wyrównania boiska. Tymczasem się zmierzchło, uciszyło się wszystko, noc była ciemna;... i na trzy razy przenieśli w skórzanych worach same srebro i złoto,

bo to wtenczas papierków nie znano, i wszystko to zakopali. Pan zginął na wojnie, Szymon w drodze umarł, i dotąd te skarby u was w ziemi spoczywają.

Barciaków aż mróz po plecach przeszedł od niespodzianego szczęścia.

— A gdzie też owe skarby? — pytają wraz.

— Moja w tem głowa — rzecze wróż. — Patrzcie! cała sztuka w tej lasce. Na końcu tej laski jest taki magnes, aż z góralskiego kraju, co wszystko do siebie ściąga. Może tu macie jaką igłę, szydło lub kawałek gwoździa? połóżcie na stole.

Wyszukują Barciakowie i kładą, a wróż przykłada magnes i dziwo wielkie, bo oto szydło i gwóźdź przyczepiają się do niego; więc wróż prawi dalej:

— Jeszcze bardziej przyciąga ono do siebie srebro i złoto; bo jest delikatniejsze. Tę laskę wbija się po samą główkę w miejscu, gdzie pieniądze są zakopane, a najdalej do trzeciego dnia na wierzch wychodzą. Jak też ja będę miał czas potemu, to przyjdę, i wszystko sprawimy.

Zatrwożyli się Barciakowie tą zwłoką, i nuż go prosić i nalegać aby już za jednym zachodem sprawił; ale wróż się wymawia, że jutro pod wieczór musi być u jednego chorego pod Kańczugą, i nijako mu ten czas pogodzić. Więc rzekną Barciakowie:

— To was podeślemy naszemi końmi, i na powrót do nas zjedziecie, a my pewnie dosadnie waszą fatygę odpłacimy.

A wróż nato:

— Ja się tam za płacą nie oglądam, bo komu mogę co dobrego zrobić to zrobię, a tembardziej wam, bo mi się podobacie. — Nareszcie myśli, myśli i rzecze: — Ha! niechże i tak będzie. Weźcież Józefie rydel, siekierę i kół jaki, i chodźmy do ogrodu, a kobiety niech się tu tymczasem zabawią.

I wyszli do ogrodu, a wróż stanął i pyta się:

— W którym miejscu stara chałupa stała? bo ta widzę nowa, i gdzie tu wschód i gdzie zachód?

— Stara chałupa — odpowiada Barciak — stała niżej, a wschód tam, a zachód jak widzicie.

— Hm! dobrze! — Spoglądnął na wszystkie strony, cofnął się o dwa kroki, i mówi:

— Odmiećcie tu śnieg, i sprobójcie rydlem albo siekierą odrąbać z wierzchu zmarzniętą skorupę, zabijcie kół... a co... idzie czy nie? Uderzcie jeszcze raz, wyciągcie! — Przeżegnał i laskę wpuścił w dziurę, zabił ją obuchem po samą gałkę w ziemię, i przykrył dziurawą donicą, by parowało.

Powrócili do izby. Z uśmiechem rzecze wróż do Barciaczki:

— No, zastawiłem już łapkę na myszy. W dobry dzień zaczęliśmy robotę, bo to wilija do Matki Boskiej, więc chyba nie będzie jak nie wyjdzie.

Potem przysuwają się do niego Marynka córka Barciaków, z Jagusią Szpalanką z drugiej chałupy, całując go w rękę i proszą: by im też co powiedział. Uśmiechnął się wróż, machnął ręką, zasiadł i rzecze:

— Wiem ja czego wy chcecie, za kim to dziewczęta wyglądają? Dajcież rękę, nie tę, tamtę lewą od serca.—Patrzy po dłoniach, nareszcie mówi: — Ty Marynko! pójdziesz na drugi zapust za mąż, przyjdzie kawaler z tamtej strony rzeki, a ciebie Jaguś jeszcze tej jesieni weźmie jeden z końca.

Zaśmiali się wszyscy, a wróż powstał, pożegnał się z wszystkiemi, i przyrzekł, że na drugi dzień przed południem przybędzie. Odprowadzili go wszyscy do drogi, i uściskali serdecznie.

Jagusia pobiegła czemprędzej do domu, wpada zadyszana i woła:

— Mamunieczku! był u Barciaków wróż, i wywróżył mi, że tej jesieni pójdę za mąż, a kawaler mój będzie z końca wsi.

— A któryżby to był? — rzecze matka—jeden tylko jest Staszek, a ten z Marynką zaręczony.

— Marynka dostanie innego — odezwie się Jagusia—z drugiej strony rzeki. Tak wszystko u Boga być może, jużci by tam mnie nie gadał, żeby nie wiedział.

— O moje dziecko kochane! pójdziesz mi dziś wcześnie spać, wywczasuj się, byś mi jutro dobrze wyglądała. Jak pój-

dziesz jutro do kościoła, wdzieję na ciebie lepsze nieco chusty, a ja zdala uważać będę, czy będzie za tobą spoglądał. —

Tymczasem Barciakowie zaczęli między sobą radzić, żeby to jakoś utraktować wróża skoro powróci; ściągali się z ostatniego a kupowali różne przysmaki, to wieprzowinę, to wina garniec od Mendla, to słodkiej wódki, żeby tylko się pokazać.

Nazajutrz od samego rana przyrządzali już wszystko do obiadu, nawet do kościoła nie poszli, co niektórzy ludzie uważali, a drudzy stając kupkami na cmentarzu przed kościołem, o tym wróżu już cuda rozpowiadali. Bo choć stara Szpalina dziesięciom, córka pięciom, a Barciakowa czterem sąsiadkom pod wielkim sekretem się zwierzyła, trudno było zapobiedz, by dalej się nie rozgłosiło. Niejedni już przemyślali, jakim sposobem by go do siebie sprowadzić, i nie w jednym kawałku się go poradzić.

Jeszcze suma w kościele stała, a już wróżowie z Rzeszowa przybyli, prosili tylko, aby nikogo do izby nie wpuszczać, bo bardzo są sfatygowani, dlatego postawili na warcie poganiacza Bartka, który każdego odprawiał.

Gdy zasiedli do obiadu, gościli się wesoło. Co tam jedli i wiele tam wypili? to na tem nikomu nic nie zależy, dosyć że się bardzo zaprzyjaźnili; a Barciakowa rozciekawiła się nawet zapytać wróża, wiele też tam jutro tych pieniędzy wykopią? i czy za nie wieś kupić będą mogli. A wróż nato:

— Oj więcej jak jedną, moiściewy, bo przez tak długie lata, musiało złoto i srebro bardzo w ziemi napęcznieć; a ponieważ teraz wszystko na wagę idzie, to na rachunek bardzo dużo wypadnie. Ale żebym też na czas jutro przyjechał każcie zaprzęgnąć, by mię gdzie na działach noc nie zapadła.

Tymczasem wstał, poszedł do komory, by zwyczajem swoim pomodlić się. Czy się modlił? niewiedzieć. Pastuch tylko przez szczelinę z sieni wypatrzył, że po coś ręką sięgał na wysoką pułkę. Gdy wyszedł z komory to już Bartek stał przy zaprzęgniętym wozie. Barciak bojąc się o wróża, by się nie przeziębił, przywdział na niego swój nowy kożuch, a Barciaczka za fatygę zawiesiła wróżce na pamiątkę kilka sznurków pięknych

korali, bo się już nie prędzej aż na wesele Marynki zejść miały. I siedli na sanie, i w imie Boże pojechali.

Zostali Barciakowie sami, Marynkę wyprawili na nieszpory, i zasiedli do rady.

Barciak. No żono! wszystko się nam wiedzie, więc potrzeba nam się zawczasu naradzić, co za te pieniądze zakupimy? Jabym myślał tu się wyprzedać, a pójść gdzie na równie, tam dobrą wieś zakupić; by było dużo lasu na opał i budowlę jak się patrzy.

Żona. Jabym wolała, by tu zostać, a daleko się nie przewozić! Pan nasz chce wieś sprzedać, już jest kilku kupców, a my na nich nałożymy, i zakupimy. Niemać tu wprawdzie lasu, tylko krzaki, ale na opał nam wystarczy.

Barciak. Ej kiedy mnie się nie wydaje między temi krewniakami.

Żona. Co ci tam chodzi o krewniaków? O tych dwóch stryjków? Oni są i zostaną Barciaki, a ciebie jak wieś kupimy, w metrykach przepiszą na Barciakowskiego, i żadnego z nimi nie będziesz miał interesu. Ot szkoda że pańskie skasowali, bo teraz by nam się przydało.

Barciak. No, pańskie to już nie powróci, ale ja i tak dam sobie radę, bo znam wszystkie kręty chłopskie, co to różnie bywa, i przy zbiórce, i przy młocce i przy orce: to się dopilnuje.

Żona. Jabym tam tylko najbardziej dla tego pragnęła pańskiego, cobym nie jednej babie za to odpłacić mogła, że mi na honor nastąpiły. Na ten przykład: Marcinowej i Wojciechowej. W pierwszy zaraz tydzień rozkazałabym im plewić w ogrodzie, a sama bym nad niemi stała. Tożbym im dopiero dopiekła.

Barciak. A cóż one ci winny? —

Żona. Oho! uzbierało się nie jedno. I tak jakeśmy były na wywodzinach u Filipki, potrzeba było że mnie usadowili koło okna; ona poźniej przyszła, a chciała tam usiąść i rzecze mi: Ustąp mi ty żebraku! że to niby mię ubogą dziewczynę za żonę wziąłeś. A ja jej na to: A ty co za jedna? Jak jej nie powiem jedno i drugie, co to bywało a o czem ludzie już za-

pomnieli, to ona wtenczas dopiero pysk stuliła, jakby jej kto klejem zasmarował. Nic się potem nie chciała odzywać, tylko cały czas sapała.

Barciak. A cóż masz do Wojciechowej?

Żona. Do tej najwięcej, bo gdzie może przed ludźmi to mnie udrze i obmówi. Spotkam się z nią, przegadam, to ona nic nie rzeknie, tylko jak żyd splunie. A że bogaczka, na każdem weselu swaszczy i wszystkim kumuje, to sobie przybrała do głowy, że jej się tylko wszystko patrzy. Jak idzie do kościoła, i powdziewa na siebie krase chustki, to już nie wie jak ma stąpać. Nikomu nie da przyjść do słowa, tylko sama rozprawia, a rzadko kiedy o kim dobrze.

Nawet w kościele, i tam chce być pierwszą. Jak do procesyi roznoszą światło, to przebiera i wybiera która większa świeca, potem idzie i wykręca się na wszystkie strony, by się na nią patrzyć jak paradnie. I śpiewa i wywodzi, i myśli że pięknie, a tu się drze jak wrona. Potrzeba było, jak był ostatni odpust, a ciżba była wielka, żem się tam zatrzymała gdzie księża idą. A ona mię szturk ręką na bok, żem się aż zatoczyła. Tu ludzie patrzą a ja cała aż czerwona, tak mi się boleśnie na sercu zrobiło. Oj gdyby to nie było na świętem miejscu! Odpłacę ja jej za to!

Barciak. No, terazby już tak nie uchodziło; musimy sobie z pańska poczynać. Jak to nasi państwo pięknie z każdym pogadają, pocieszą, poradzą, chorego sama pani lub która z córek nawidzi, ziółek przyniesie, kropli lub maści...

Żona. To źle robią. Jabym tam tak nie robiła; albo oni to uznają; albo oni tego warci?

Barciak. No, moja żono! przecie nie wszyscy są jednacy.

Żona. To prawda że nie wszyscy, bo jak są Józefowie i Wójtowie, to bym się ich i potem nie wypierała. Ale też co wszystkim innym to nie daruje; ho, ho, dosyć gorącego sadła zalali mi oni za skórę, więc też pokażę im jak ja to umiem kiedym sobie pani.

I tak nie mogli sobie rady dać Barciakowie z temi skarbami. Wielkie państwo chodziło im po głowie, radzili i radzili

co to oni zrobią, a o pacierzu i o chwale bożej to na piękne przepomnieli.

A co też dalej uradzili, i jak się to państwo skończyło, to wam opowiem w następnym numerze.

Co rozpowiadał siwy dziaduś z za Wisły.

Niedawno temu, przyszedł siwy dziadek do Skawiny pod Krakowem, a szedł prosto z za Wisły, z Jasnej Góry, od cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. A skoro przyszedł do Macieja Kafara, co go zna nie od dzisiaj, co z nim nie raz i nie dwa razy chodził za Wisłę, tak dopiero tutaj jął opowiadać historje niesłychane.

A że to była Niedziela święta, i u Kafara siedzieli właśnie Grzegorz Miąsik i Bartłomiej Kozak, tak też i oni obadwaj słuchali co dziadek opowiadał, a zrazu nie chcieli nawet dać wiary, tak im to było dziwno; tylko że dziadek składał na krzyż palce a przysięgał, że to wszystko słyszał, słowo słowo od księdza na Jasnej Górze.

— Mościewy, tak to było — jął dziadek opowiadać. — Kiedy ja zeszłej niedzieli zeszywałem sobie torbę i naprawiałem buciska, żeby się ruszyć kędy w drogę, tak mię spotkał u drzwi ksiądz Gerwazy, co mię zna dobrze, bo nieraz tam pomagam w robotach kościelnych, a smutną miał minę. —Wybierasz się w drogę? rzecze on do mnie. — A ja mu nato: — Juźci mój Jegomościuniu — a takem spojrzał na niego, jak żebym mu chciał powiedzieć że smutny. Tak on musiał mnie zrozumieć, i rzecze: A zostańże do jutra, bo odprawiamy mszę żałobną za poległych w Warszawie. A skoro ja się go spytał za jakich poległych, tak on mi dopiero jął opowiadać, co wam tu słowo w słowo powtórzę:

— Mój stary — mówił do mnie ksiądz Gerwazy — niesłychane stały się rzeczy w Warszawie. Wiesz pewnie o tem, że będzie trzydzieści lat temu jak nasi bili się z Moskalami, i pobili ich pod *Grochowem*. Stało się to 25 lutego. Więc też

tego roku zebrali się Warszawianie, i chcieli odmówić w kościele paciorek za dusze zabitych pod Grochowem. Tak ci więc stało się, że pomodliwszy się pięknie w kościele, wyszli z procesją i choręgwiami, a śpiewając nabożne pieśni, chcieli obejść po mieście. Ludu było wiele, ale każdy tam był spokojny i z nabożeństwem na ustach, więc wszystko szło porządnie i cicho: aż tu nagle wypadną Moskale na koniach, i nic nie powiedziawszy, dalejże napadać, tratować i rąbać modlących się ludzi. Było tam tej obrazy boskiej siła, aż też się pospólstwo rozbiegło, a na placu zostało dużo rannych i kilkoro zabitych.

Straszna boleść chwyta wszystkich za serce, że to wojsko pałaszami uderzało na ludzi, co jeno nabożną pieśnią wstawiali się do nieba za swoimi braćmi. A przecież tam nikt nie porywał się do bicia, bo człowiek czysty na sercu nie boi się napaści, a ufa panu Bogu i Boskiej wyczekuje zemsty na niesprawiedliwość ludzką. A żeby też pokazać czyste, dla chwały Boskiej poświęcone serca, tak mieszkańcy Warszawy nie odstąpili swego, i we dwa dni później zebrali się w innym kościele chcąc pomodlić się do Boga, choćby i za wrogów zbójeckich.

Ale zły duch widać oplątał moskiewskie głowy. Napadli oni i tutaj na bezbronny naród, a straszne wydziwiali rzeczy: Kozacy łamali krzyże i obrazy Świętych, a księży bili nahajkami; strzelono także do ściśniętego ludu, więc zaraz kilku padło zabitych, kilku ranionych, a reszta rozbiegła się, zanosząc skargę do Boga, na taką niesprawiedliwość.

I znać pan Bóg poruszył sumienie Moskali, bo ujrzawszy swoją robotę, usunęli się przestraszeni, a nie ukazali się już więcej. Zaś lud Warszawski tak jak męczennik za wiarę Chrystusa, podniósł się bardzo na sercu, i nie wyrzekał Bogu. Drugiego tego miesiąca odprawili pogrzeb pięciu ludziom, których Moskale zabili, a jak Warszawa Warszawą to nie widziała takiego pogrzebu. Szli biskupi i niezliczona moc księży, nawet rabini żydowscy szli przejęci także tą boleścią, a ludu było jak mrowia, a na barkach ludu pięć czarnych trumien. Bo myśleli sobie Warszawianie: żebyśmy mieli zginąć wszyscy to pójdziemy. Niech cały świat wie jako cierpimy niesprawiedliwie. Ale Moskale już się nie pokazali i nie stali w przeszkodzie, więc

nabożnie i w cichości odniósł lud swoich męczenników na wieczny odpoczynek. Widzisz więc mój stary — prawił przy końcu ksiądz Gerwazy —trzeba nam pomodlić się za tych zabitych we Warszawie, i oddać ich dusze dobroci i łasce Najwyższego Boga.

Więc ja zostałem się jeszcze na drugi dzień, a widziałem jak księdzu Gerwazemu ciekły łzy po twarzy, kiedy mszę odprawiał, i mnie samemu ciepło zrobiło się w oczach.

Skończył opowiadać siwy dziadek, a teraz i Miąsik i Kozak mieli łzy w oczach, a stary Maciej Kafar podniósł ręce do góry i zawołał:

— O Panie, kiedyż się nad nami zlitujesz!

RÓŻNOŚCI.

Rozum gromadzki. Na granicy Litwy i Wołynia była jedna wieś strasznie uboga i zaniedbana. Dawny dziedzic gdzieś przepadł, nie było ni dzieci ni krewnych, a rząd, i to jeszcze taki ostry rząd moskiewski wziął całą wieś w swoją opiekę. Więc też niszczył role i budynki, ludzi na żebry wypędzał, lasy przeogromne, co dawnym dziedzicom najwięcej się wypłacały, wytrzebił do czysta, a głodem wymorzył obory i stajnie.

Ludzie nie wiedzieli co im czynić wypada, taka była bieda, taki skwierk i lament. Chcieli już nawet zabrać się, i iść z resztą dobytku gdzie na kraj świata; aż tu naraz skoro już we wsi nic nie było prócz świętej ziemi, wypuszczają urzędniki wieś na licytację. I owoż trafiło się, że jakieś poczciwe panisko kupił wieś na licytacji, a wydał grosz ostatni, by tylko uwolnić ten lud od moskiewskiej opieki.

Jakoż ów panisko, wypłaciwszy urzędnikom, zabrał swoich dwóch służących, a jedzie zobaczyć jak ta jego własność wygląda. Aleć skoro przyjechał, to aż się za głowę chwycił, tak tam było wszystko zniszczone i nędzne.

— Cóż ja sobie pocznę!—zawołał nowy dziedzic ze smutkiem.— A czemże ja obrobię moje pola, a zkądże ja naprawię te budynki, kiedym wydał wszystko na zakupno ziemi.

Słyszała jego turbacje gromada, boć właśnie wyszła, przywitać swego nowego pana. Rada była, że się już moskiewskiej opieki z karku pozbędzie, aleć znowu świeży ją smutek ogarnął, słysząc że pan nie zamożny, a tu gospodarstwo bez wo-

łu choćby jednego, i bez konia choćby ślepego a łogawego.

— Trzeba mi jechać z powrotem do miasta — wołał dziedzic dalej — bo ja tu nic nie poradzę, a zdrowie na darmo bym tracił.

A wtedy gromada zaczęła coś szeptać między sobą, a potem pokłoni się panu do kolan i rzecze:

— Wielmożny panie, a toć bez urazy waszej, gdybyście chcieli nas wysłuchać, a nie pogardzili radą naszą, tobyśmy może wam i co nieco pomódz mogli.

— I cóż wy mnie pomożecie, wy sami biedacy — mówił nowy dziedzic zafrasowany.

— Ot, prawda że my biedacy — ozwał się wójt — aleć przecie potrafimy jeszcze udzielić ze swego. A jeżelibyście też chcieli przyjąć krowinę od jednego, a konia od drugiego, to tam każdy wedle swej zamożności, może wam dać co na zapomogę.

Zadziwił się radośnie nowy dziedzic, i aż łzy mu w oczach stanęły:

— A gdzież ja was mogę tak krzywdzić? A toć rychlej mnie jednemu szkodować na tem, niż wam wszystkim dla mnie.

Ale gromada rzuciła się do nóg dziedzica i jęła wołać:

— O wielmożny panie, a nie chciej też nas opuszczać, bo nam przyjdzie jęczeć pod moskiewską ręką. A przyjmże to od nas na zapożyczkę, a przecież my wiemy że jak porośniesz w pierze, to nam stokrotnie oddasz, chętnem i życzliwem sercem.

Więc dobre panisko, nie mógł się już wymówić; nachylał się, obejmował i ściskał swoich gospodarzy, a przyjmował od każdego, co mu tam który przyniósł na zapomogę. A skoro w parę dni później przyjechali do niego przyjaciele w odwiedziny, to im otworzył oborę i pokazał sześćdziesiąt sztuk bydła, i mówił:

— Patrzcie, to mi dała wieś moja na zapomogę! — i serce się w nim radowało, i wieczną przyjaźnią rozgorzał do swych gospodarzy.

A pan Bóg błogosławi i ludziom we wsi i dziedzicowi, bo nasz wszechmocny Ojciec kładzie tam zawsze dobrotliwą rękę, gdzie jest przyjaźń i miłość braterska.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Kto chleba nie chce, nie godzien kołacza.
Kto nie rad robi, temu zawsze niedziela.
Trzeba się zmaczać, kto chce ryby łowić.
Nie szyj sobotnim sztychem, na niedzielny targ.
Sama się robota w palcach robi, kiedy się z ochotą pracuje.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.